



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Albin Woźniak

Tamte dni

Urodziłem się 14 sierpnia 1943 roku w Malicach. Rodzice moi – Stanisław i Katarzyna z Robaczyńskich Woźniakowie – pochodzili z Malic koło Hrubieszowa i tam też mieszkali w czasie II wojny światowej.

Krótko po moim przyjściu na świat ojciec zaczął się ukrywać w obawie przed banderowcami, którzy mordowali Polaków. Miałem pół roku, kiedy pewnej nocy przyszedł odwiedzić mnie i mamę. Było to nasze ostatnie spotkanie. Tej samej nocy został zabity przez bandę ukraińską. Niektórych oprawców mama знаła, ale nigdy nie powiedziała mi co to byli za jedni.

Wkrótce po tym tragicznym wydarzeniu ze strachu, że i ją zabiją, mama uciekła ze mną za Zawadę (węzłowa stacja kolejowa na zachód od Zamościa) do Niedzielisk. Była tam przez jakieś trzy tygodnie u znajomych taty. Następnie przysłała na dworzec kolejowy do Zawady, bo chciała wrócić do Werbkowic, a stamtąd do domu. Na peronie czekał pociąg, więc stanęła na stopniu i próbowała wejść do środka. Okazało się jednak, że drzwi do wagonu są zamknięte. Na nieszczęście w tym samym momencie pociąg ruszył. Mama nie wiedziała co ma robić – jedną ręką trzymała rączkę drzwi, a drugą mnie. Dopiero po pewnym czasie wyszedł z przedziału niemiecki oficer i pomógł jej wejść do środka. Okazało się, że był to pociąg wojskowy jadący na front (było to wiosną 1944 roku). Oficer posadził mamę ze mną na siedzeniu, wyjął szynkę i zaczął częstować. Brał kawałek dla siebie, a kawałek dawał mnie. Potem podobnie zrobił z czekoladą – kawałek dla siebie, kawałek dla mnie. I tak dojechaliśmy do stacji Koniuchy. Tu mama chciała wysiąść, bo mieliśmy rodzinę w pobliskim Zawalowie. Oficer zatrzymał pociąg i wysiadła, a on tylko jej pokiwał ręką, żeby więcej w taki sposób nie jeździła.

Drugie zdarzenie miało miejsce w Zawalowie. Razem z nami była tam Janka – ośmioletnia córka wujka, starszego brata mamy. W tym czasie zbliżał się do nas front. Mama uciekała przed nadlatującym samolotem przez pole do schronu. Trzymała mnie na rękach zawiniętego w pierzynę. W pewnej chwili zgubiła mnie w polu, ale nie zauważyła tego i biegła dalej. Za nią leciał samolot i ostrzeliwał. Janka pierwsza się zorientowała, że pozostałem na polu i krzyczy do mamy: „Ciocia, zgubiłaś Albina... Leży tam na polu jakieś 200 metrów stąd”. Później okazało się, że były to samoloty rosyjskie, które atakowały znajdujących się w pobliżu niemieckich żołnierzy.

Opisane wydarzenia znam z opowieści mamy, bo sam byłem za mały, aby cokolwiek zapamiętać. W pamięci pozostały mi do dziś czasy późniejsze, stalinowskie, kiedy m.in. byliśmy zmuszani do oddawania za darmo zboża... Nie powodziło nam się najlepiej, ale wtedy przynajmniej nie musieliśmy się obawiać o swoje życie.